

ZAPIS SPOTKANIA Z PROFESOREM EDMUNDEM KOTARSKIM – (GDAŃSK, 19 MAJA 2011)

Profesor Ewa Graczyk: Chciałabym powiedzieć, że się bardzo, bardzo cieszę, że pan profesor nas zaszczycił i będzie uczestniczył w cyklu, który jest dla nas bardzo ważny. W imieniu dyrekcji witam.

Doktor Magdalena Horodecka: W imieniu organizatorów – studentów i doktorantów, którzy pomagają organizować te spotkania, również serdecznie witam pana profesora Edmunda Kotarskiego wśród nas, witam również panią doktor Katarzynę Kiskowiak, która to spotkanie poprowadzi. Oddaję państwu głos i zamieniamy się w słuch.

Doktor Katarzyna Kiskowiak: Wielce szanowni państwo, witam państwa bardzo serdecznie na czwartym spotkaniu z cyklu *Dialogi z tradycją. Czas na wyznania gdańskich polonistów*. Bohaterem naszego dzisiejszego spotkania jest pan profesor doktor habilitowany Edmund Kotarski, którego sylwetkę pozwolę sobie państwu w kilku zdaniach przybliżyć.

Profesor Edmund Kotarski jest zasłużonym badaczem zjawisk literackich i kulturowych od średniowiecza począwszy aż po oświecenie. W obszarze szczególnych zainteresowań naukowych pana profesora leżą przede wszystkim tradycja retoryczna, marynistyka staropolska oraz kultura literacka dawnego Gdańska. Profesor Kotarski jest autorem licznych cennych artykułów naukowych i książek. Pozwolę sobie tutaj wymienić tylko kilka tytułów, z góry zaznaczając, że selekcja, której dokonałam, nie ma w żadnym razie charakteru wartościującego. W tym ogromie dorobku naukowego dokonanie selekcji było rzeczą konieczną, albowiem wszystkich prac pana profesora wymienić tu nie sposób. Zatem: *Publicystyka Jana Dymitra Solikowskiego* (Toruń 1970), następnie *U progu marynistyki polskiej XVI – XVII wieku* (Gdańsk 1978), kolejna pozycja to *Dziedzictwo i tradycja. Szkice o literaturze staropolskiej* (Gdańsk 1990). Następną bardzo ważną książką jest *Gdańska poezja okolicznościowa XVII wieku* (Gdańsk 1993), dalej *Sarmaci i morze. Marynistyczne początki w literaturze polskiej XVI – XVIII wieku* (Warszawa 1995) i *Gdańska poezja okolicznościowa XVIII wieku* (Gdańsk 1999). Ostatnimi czasy pan profesor Kotarski zajmuje się relacjami pomiędzy literaturą a mediami w dawnych wiekach i z tego zakresu opublikował szereg artykułów naukowych w tomach zbiorowych. Pozwolę sobie przywołać tylko trzy wybrane tytuły: *Retoryka w badaniach nad mediami*¹⁶, *Media w przestrzeni sakralnej polskiego średniowiecza*¹⁷ i *Krajobraz medialny osiemnastowiecznego Gdańska*¹⁸.

Chciałabym przypomnieć też o funkcjach pełnionych przez pana profesora. Pan profesor pełnił funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Gdańskiego, był również przez szereg lat kierownikiem Zakładu Historii Literatury Staropolskiej i Oświeceniowej Instytutu Filologii Polskiej. Był także dyrektorem Biblioteki Gdańskiej PAN.

¹⁶ E. Kotarski, *Retoryka w badaniach nad mediami. Uwagi wstępne*, w: *Retoryka dziś. Teoria i praktyka*, red. R. Przybylska, W. Przychyna, Kraków 2001.

¹⁷ *Media w przestrzeni sakralnej polskiego średniowiecza*, w: *Dzieło literackie i książka w kulturze*, Katowice 2002.

¹⁸ E. Kotarski, *Krajobraz medialny osiemnastowiecznego Gdańska*, „Wiek Oświecenia”, t. 19, 2003.

I wreszcie na koniec, chciałabym powiedzieć kilka słów o panu profesorze jako nauczycielu akademickim. Profesor jest promotorem licznych prac magisterskich i doktorskich. W pamięci wielu roczników studenckich, w tym także w mojej, zapisał się jako wybitny dydaktyk, mistrz wykładu, a także jako nauczyciel prowadzący niezwykle ciekawe ćwiczenia i seminaria magisterskie i doktorskie, w których miałam okazję uczestniczyć. Wspominam te zajęcia jako niezmiernie interesujące i inspirujące.

Chciałabym teraz oddać głos naszemu gościowi. Pierwsze pytanie, jakie chcę zadać, dotyczy będzie rodowodu polonistycznego pana profesora. Chciałabym zapytać o studia w Toruniu, o rodowód tamtejszej filologii.

Profesor Edmund Kotarski: No i wystarczy, bo zapomnę. [*śmiech wśród publiczności*]

Zanim zaczęła się polonistyka toruńska, musiała być nauka na poziomie średnim. I o szkole średniej chciałbym parę słów powiedzieć, bo do tego nie zawsze wracamy. A ta szkoła, z moich czasów (to już prawie sto lat), była inna niż dzisiejsza. Przede wszystkim, weszliśmy wówczas – w 1945 roku – w struktury przedwojenne: czteroletnie gimnazjum ogólnokształcące i dwuletnie liceum z przymiotnikiem bliższym, na przykład humanistyczne, matematyczno-przyrodnicze. A to coś znaczyło. Ja ukończyłem takie właśnie gimnazjum i takie liceum w Bydgoszczy. Pierwsze Państwowe Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące Męskie. W nazwie było „męskie” i ono było męskie rzeczywiście. Na koedukację jeszcze trzeba było kilka lat poczekać, w każdym razie w tym gimnazjum i tym liceum.

Struktura przedwojenna. Przedwojenni byli także nauczyciele, którzy studiowali przed wojną, przed wojną zaczynali pracę zawodową. Przeżyli wojnę, okupację i zaczęli nas kształcić. A myśmy byli marnymi uczniami. Z bardzo prostej przyczyny: mieliśmy ogromne luki w wykształceniu elementarnym. Jak oni, przeżyliśmy wojnę i okupację. Mówię o tym tylko dlatego, żeby państwo zdali sobie sprawę, z jakimi zaległościami to pokolenie wchodziło do gimnazjum i liceum, a potem na studia.

Można podziwiać tych, którzy nas próbowali kształcić w tamtych, powojennych warunkach. Dzisiaj nieraz narzeka się, że klasy są liczne. Klasa, w której zaczynałem edukację gimnazjalną, liczyła pięćdziesięciu sześciu uczniów. Proszę prowadzić taki zespół. Nieraz o tym myślę. Na szczęście to grono nauczycielskie było głównie męskie, pań było niewiele. Panowie jakoś sobie z nami radzili.

Mieliśmy znakomitego dyrektora – inwalidę wojennego, ale jeszcze z pierwszej wojny światowej – filologa klasycznego, który uczył wcześniej greki, a za moich czasów – już tylko łaciny. Nas bezpośrednio – nie. Ale to był dyrektor z ogromnym autorytetem. Wystarczyło, że się pokazał na końcu jednego korytarza, by natychmiast zapadało totalne milczenie. Autorytet mieli też nauczyciele, którzy nam poświęcali swój czas, bardzo wiele uwagi, wiedzę, umiejętności. Można powiedzieć, że było to grono wyjątkowe.

Proszę zważyć jeszcze – nauczyciele byli wówczas w wyjątkowo trudnej sytuacji materialnej. Przez czas jakiś, może to trwało nawet rok, nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia. Żadnego! Właściwie żyli z tych środków, które zdołał zgromadzić komitet rodzicielski. A przecież to były osoby mające rodziny na utrzymaniu, dzieci. Dwaj nasi nauczyciele chodzili jeszcze przez dwa lata w mundurach wojskowych, nie mieli garniturów. Wrócili z oflagu (obaj byli oficerami) i w tym, w czym wrócili, pojawiali się na lekcjach. To były czasy także od tej strony wyjątkowe.

Był jeszcze jeden bardzo ważny problem (problemów było oczywiście znacznie więcej, nie będę o wszystkich mówił): nie było podręczników. Podręczników przedwojennych nie

wznawiano, nowych nie było. A przecież były zadania domowe. Coś trzeba było przeczytać, przygotować. Nie mówię tutaj o lekturach typu: *Pan Tadeusz* czy powieści Orzeszkowej, Prusa. Z tym można było sobie poradzić, bo zawsze w domu coś się znalazło, a ostatecznie były biblioteki. Natomiast problemem były właśnie podręczniki. W dobrej sytuacji byli ci koledzy, którzy mieli starsze rodzeństwo. W tych domach były podręczniki jeszcze przedwojenne (do różnych przedmiotów). Miałem kolegę, który mieszkał stosunkowo niedaleko, jakieś piętnaście, dwadzieścia minut drogi. Umawiałem się z nim, przychodziłem do niego na określoną godzinę i albo zostawałem u niego i tam na miejscu czytałem, albo wypożyczałem, zabierałem do domu, ale musiałem wrócić znowu o określonej godzinie, bo ktoś inny czekał na ten podręcznik. Tak to bywało przez kilka lat. Ukazywały się zadania matematyczne. Pojawiały się także edycje *Elementa latina*¹⁹ – teksty łacińskie, przydatne niewątpliwie. Ale trzeba powiedzieć, że nie było przede wszystkim podręczników do historii, do literatury.

Byłem w tej dobrej sytuacji, że miałem „Chrzanowskiego”²⁰. Dzisiaj Chrzanowski już trochę przeminął, nie jest czytany. Dla nas był podręcznikiem bardzo ważnym, oprócz bowiem wykładu historycznoliterackiego zawierał antologię tekstów – antologię obejmującą i poezję, i prozę. Proza na ogół pojawiała się we fragmentach. Pamiętam, że postanowiłem przeczytać w całości te teksty, które znalazły się tam tylko we fragmentach. Zacząłem, jeśli dobrze pamiętam, od Kazań sejmowych. Na lekcjach mówiło się tylko o *Kazaniu wtórym. O miłości ku ojczyźnie i o pierwszej chorobie Rzeczypospolitej, która jest z nieżyczliwości ku ojczyźnie*. Latami to drugie kazanie w programach szkolnych figurowało. Mnie interesowała całość, poszedłem więc do Biblioteki Miejskiej, powstałej po pierwszej wojnie światowej (nie mówię o początkach jeszcze z okresu zaborów). Została ona zorganizowana przez doktora Witolda Bełzę, bratanka Władysława Bełzy, tego, którego państwo pewno pamiętają jako autora wiersza „Kto ty jesteś? – Polak mały. – Jaki znak twój? – Orzeł biały”.

Była to znakomicie zorganizowana biblioteka i tam wypożyczyłem, tak się szczęśliwie złożyło, wydanie *Kazań sejmowych* w Bibliotece Narodowej w opracowaniu Stanisława Kota²¹. Byłem zafascynowany tą lekturą. Zafascynowany prozą Piotra Skargi, ale także komentarzami i wstępem Stanisława Kota. Byłem zdumiony, że można tak wiele wydobyć z tekstu, że można tak wiele o tekście powiedzieć. Stanisław Kot był historykiem – głównie reformacji, także kultury; z tych perspektyw spoglądał na Skargę i na jego *Kazania sejmowe*.

Tak dalece zachwycił mnie tym razem już nie tylko Skarga, ale i Kot, że postanowiłem wypożyczyć jeszcze jedną pozycję – Stanisława Kota tym razem. Wybrałem niewielką, dobrze napisaną, monografię poświęconą Andrzejowi Fryczowi Modrzewskiemu²². Mogę powiedzieć, że od tych lektur – Chrzanowskiego, Kota i wielu, wielu, wielu innych, dalszych – zaczęły się moje zainteresowania humanistyką.

Stanowiliśmy pokolenie, które czytało bardzo wiele. To był świat bez telewizji, świat bardzo ograniczonej dostępności radia. Pozostawały lektury. Czytało się więcej niż dzisiaj. Czytało się różne rzeczy. Miałem kolegę, który przychodził rano do klasy, rozkładał przed sobą jakiś zeszyt, jakąś książkę, a to, co było dla niego najważniejsze, kładł na kolana i zaczynał czytać. Zanim lekcja się zaczęła, on już czytał. Czytał powieści Karola Maya. Dzisiaj pewnie Maya się już nie czyta, ale jeden tytuł przypomnę – *Winnetou*. Może ten tytuł jeszcze coś

¹⁹ Podręcznik do nauki języka łacińskiego autorstwa Stanisława Skiminy wydawany przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

²⁰ I. Chrzanowski, *Historja literatury niepodległej Polski (965–1795): z wypisami*, Warszawa 1906.

²¹ P. Skarga, *Kazania sejmowe*, oprac. S. Kot, Kraków 1925, BN I 70.

²² S. Kot, *Andrzej Frycz Modrzewski. Studium z dziejów kultury polskiej w. XVI*, Kraków 1923.

państwu mówi. Czytał Karola Maya – albo w przekładzie, albo w oryginale. Zapłacił za to bardzo wysoką cenę. Do matury doszedł z dwuletnim opóźnieniem. Ale maturę zdał, skończył studia, został inżynierem, pracował w Stoczni Gdańskiej.

Szkoła średnia niewątpliwie rozbudziła moje zainteresowania humanistyczne. Ale jeszcze nie wszystko było przesądzone. Jeszcze się wahałem. Wiedziałem jedno: chcę być nauczycielem. Ale czego uczyć? Brałem pod uwagę matematykę. Zupełnie serio zacząłem się nią zajmować, wręcz studiować na własną rękę. Matematyka miałem szczególnego. Był to człowiek o szerokich horyzontach i bardzo zróżnicowanych zainteresowaniach. Łatwo go było podczas lekcji wciągnąć w jakieś dyskusje. Był na pewno świetnym matematykiem, ale znudzonym swoim przedmiotem. To on sprawił, że definitywnie z matematyki zrezygnowałem. Wydawało mi się, że jeśli ja, po latach pracy, zmęczone się tym przedmiotem, znudzę się i będę tak postępował jak on, to nie jest to właściwa droga.

Wiedziałem, że matematyki uczyć nie będę i tak się rzeczywiście stało. Wahałem się jeszcze między polonistyką a historią. Wygrała polonistyka, śmiem twierdzić, że za sprawą Ignacego Chrzanowskiego i Stanisława Kota.

Jeszcze o matematyce. Mówimy o niej już to dobrze, już to źle. Matematyka wraca jako przedmiot maturalny, po jakimś czasie się z niej rezygnuje. Za moich uczniowskich czasów gimnazjum było, jak wspominałem, ogólnokształcące, kończyło się „małą maturą”, a jednym z przedmiotów była matematyka. Liceum, do którego poszedłem, było humanistyczne i matematyki na maturze nie było. Ale kiedy myślę o moich kolegach... Do matury doszło ostatecznie w trzech klasach dziewięćdziesięciu paru. Bardzo wielu kolegów po drodze „zguliliśmy”. Kiedy zaczynaliśmy w 1945 roku, był tłum w naszej klasie. Proszę sobie wyobrazić: z tych pięćdziesięciu sześciu wówczas startujących do matury w terminie doszło dziewięciu. Taki był odsiew. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że niektórzy odchodzili po „małej maturze”, na przykład do niższego seminarium duchownego lub do liceum matematyczno-przyrodniczego. „Wychowaliśmy”, nawiasem mówiąc, trzech księży. Jeden z nich został arcybiskupem metropolity. Nie u nas, nie w Gdańsku, żeby nie było wątpliwości. Odsiew był znaczny. Ten kolega – specjalista od Maya – także nie dotarł do matury w porę.

Mówiłem o tych, którzy poszli do seminarium duchownego, dwaj wybrali polonistykę, jeden poszedł na historię. Bardzo wielu poszło na studia techniczne i medyczne, na prawo, na studia ekonomiczne czy ekonomiczno-administracyjne, mimo że na maturze matematyki nie było. Z tego grona (dziewięćdziesięciu paru) do profesury doszło sześciu. Jakie dziedziny reprezentują? Chemię, fizykę, medycynę, geografę, socjologię i naukę o literaturze. Bez matury z matematyki można było studiować na różnych kierunkach. Niesłusznie się uważa, że myślenie kojarzy się tylko z matematyką; myślenia i precyzji można uczyć także na lekcjach z przedmiotów humanistycznych. Nieobecność matematyki na maturze nikomu, w każdym razie w tamtych latach, w wyborze kierunku studiów nie przeszkodziła.

Tyle o tym szczeblu kształcenia, tyle pochwały mego liceum i grona nauczycielskiego. To są moje wyrazy podziwu dla tych, którzy pracowali w wyjątkowo trudnych warunkach. A teraz polonistyka toruńska.

Polonistyka toruńska była młoda. Miała za sobą raptem pięć lat istnienia. Można powiedzieć, że polonistyka gdańska dziś to już czcigodna starość – istnieje kilkadziesiąt lat. Kadra toruńska wywodziła się głównie z Wilna i ze Lwowa.

Mieliśmy na polonistyce bardzo wiele wykładów z zakresu literatury powszechnej. Te wykłady toczyły się równoległe do wykładów z historii literatury polskiej, gramatyki, opisowej i historycznej czy historii języka polskiego. Słuchaliśmy wykładów profesora Eugeniu-

sza Słuszkiewicz, orientalisty z wykształcenia, poliglota (znał ponad dwadzieścia języków). Wykładał literaturę starożytnego Wschodu. To była zupełna egzotyka. Profesor Słuszkiewicz (1901–1981) miał później jeszcze wykład ze wstępu do językoznawstwa ogólnego – z popisem znajomości języków. Póki profesor przywoływał przykłady z języka angielskiego, francuskiego, niemieckiego, włoskiego, hiszpańskiego – pół biedy. Ale on najchętniej sięgał po inne języki, po sanskryt, turecki, mało – staroturecki. To były fascynujące, olśniewające wykłady, niepowtarzalne. Weszliśmy w zupełnie inny świat.

Potem mieliśmy całą serię dalszych wykładów z literatury powszechnej. Był wykład z literatury greckiej. Wykładała pani, wówczas docent, potem profesor, Zofia Abramowiczówna (1906–1988), znająca znakomicie literaturę grecką, a także język grecki. Pod jej redakcją zaczął się ukazywać słownik grecko-polski²³, na pewno w czytelni naszej biblioteki ten słownik stoi, kilkutomowy. Była przez kilka lat jego redaktorem. Wiedzieliśmy o niej jeszcze jedno. Przez lata całe, dziesiątki lat, przepisywała na użytek niewidomych teksty w alfabecie Braille’a. Dzień w dzień przepisywała teksty, w tym podręczniki języków obcych. Przez dziesiątki lat. To była pani docent Abramowiczówna, u której zdawałem egzamin z literatury greckiej, później niż należało. Ale muszę powiedzieć, że był to znakomity egzamin, bez tłumna korytarzu. Pani profesor wyznaczyła godzinę (poranną). To trwało godzinę, jeśli nie dłużej. I cały czas rozmawiało się o literaturze greckiej, głównie o prozie. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że ona w tym czasie tłumaczyła Plutarcha. Jakoś szczęśliwie dobrze się wówczas wypowiadałem na temat właśnie Plutarcha i to pewnie miało wpływ i na przebieg egzaminu, i na końcową ocenę. To był jeden z najsympatyczniejszych egzaminów, właśnie poza wszystkimi terminami, z opóźnieniem, ale właśnie w kameralnych warunkach.

Potem mieliśmy wykład z panią docent Barbarą Józefowiczową (1906–1991), która wprowadzała nas w literaturę łacińską.

Gdy mowa o filologach klasycznych, trzeba pamiętać o profesorze Stefanie Srebrnym (1890–1962), z którym tylko okazjonalnie się spotykaliśmy. Był to znakomity znawca tragedii greckiej, tłumacz Ajschylosa; za naszych czasów ukazał się tom *Tragedii*²⁴, nie tylko w przekładzie profesora, ale i w jego opracowaniu. Tłumaczył również Sofoklesa i Eurypidesa oraz komediopisarza Arystofanesa.

Wreszcie profesor Zygmunt Czerny (1888–1975), romanista, człowiek pełen energii. Wchodził do sali wykładowej – wtedy studenci jeszcze wstawali, kiedy profesorowie wchodzili na wykład – ale, jak to studenci, ci – bliżej drzwi – wstawali, inni – siedzący pośrodku – uważali, że można nie wstać. Ale kiedy profesor zauważył takiego delikwenta, przemierzył całą salę, podchodził do niego i mówił: „Dzień dobry panu”. Chłopak zrywał się na równe nogi i na następny raz albo wstał, albo nie przyszedł. To był profesor o szerokich zainteresowaniach, wykładał literaturę francuską, włoską, hiszpańską, portugalską i rumuńską. Tym się jeszcze wyróżniał, że ani razu nie podszedł do tablicy, nie napisał żadnego nazwiska ani tytułu. Niektóre nazwiska znaliśmy, ale przecież nie wszystkie. A były wśród nich także nazwiska pisarzy drugiego i trzeciego planu. Myśmy się potem biedzili, żeby je rozszyfrować. Szukaliśmy po podręcznikach, żeby jednak dojść do prawidłowego zapisu.

Był także wykład z literatury niemieckiej doktora Gustawa Fossa (1908–1956), który wkrótce po naszych studiach zmarł – już jako docent Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zapamiętałem go jako znakomitego wykładowcę, znawcę literatury niemieckiej. Wymienić by jeszcze należało wykłady z literatury angielskiej i tak dalej, i tak dalej.

²³ *Słownik grecko-polski*, red. Z. Abramowiczówna, t. 1 – 4, Warszawa 1958 – 1965.

²⁴ Ajschylos, *Tragedie*, przeł. S. Srebrny, Warszawa 1952.

Bardzo dobrze ten czas wspominam. Korzystaliśmy – jako studenci – z bliskich kontaktów między filologami. Mam wrażenie, że tworzyła się wówczas wspólnota filologiczna. Dzisiaj poloniści nie odczuwają, że w ich sąsiedztwie istnieją neofilologie i filologia klasyczna. Otwartość, której walory poznaliśmy, należy, jak się zdaje, do przeszłości.

Były i cienie. Tak się złożyło, że znakomity historyk literatury, znawca literatury staropolskiej, ale i romantyzmu, profesor Konrad Górski (1895–1990), tuż przed naszymi studiami został odsunięty od dydaktyki. Pracował w Instytucie Badań Literackich PAN; myśmy się z nim już nie zetknęli. Nie poznaliśmy również profesora Eugeniusza Kucharskiego (1880–1952), przybyśza ze Lwowa, historyka i teoretyka literatury, zajmującego się między innymi Aleksandrem Fredrą. Nie poznaliśmy go, bo chorował wtedy już bardzo poważnie. Poznaliśmy jeszcze i słuchaliśmy wykładów profesora Tadeusza Makowieckiego (1900–1952) zajmującego się Młodą Polską, głównie Wyspiańskim, sporadycznie także Norwidem. Był autorem monografii *Poeta-malarz*²⁵, monografii poświęconej właśnie Wyspiańskiemu. Wznowienie tej monografii pojawiło się w 1969 roku, a pierwsze wydanie ukazało się przed wojną w 1935. Słuchaliśmy jego wykładów, ale naszych egzaminów już nie przyjął. Chorował poważnie na serce. Jego wykłady początkowo odbywały się na pierwszym piętrze, potem zostały przeniesione na parter, żeby profesor nie musiał chodzić po schodach. Zmarł w maju 1952 roku.

Młoda polonistyka toruńska dopiero się kształtowała, u początku drogi ponosiła poważne straty. Mieliśmy na szczęście jeszcze całe grono kompetentnych profesorów i adiunktów, zajmujących się różnymi okresami literatury, a także teorią literatury. Spośród adiunktów wymienię przykładowo późniejszych profesorów: doktor Bożenę Osmólską-Piskorską i doktora Artura Hutnikiewicza (1916–2005).

Mieliśmy wykłady i ćwiczenia (także ćwiczenia – dzisiaj profesorowie z reguły ćwiczeń czy proseminariów nie prowadzą) z profesorem Bronisławem Nadolskim (1903–1986), który zajmował się literaturą dawną, głównie epoką renesansu. W późniejszych latach badał także literaturę i kulturę Pomorza XVI i XVII wieku.

W problemy gramatyki opisowej i historii języka wprowadzała nas profesor Halina Turska (1901–1979) wywodząca się z Wilna, a z językiem staro-cerkiewno-słowiańskim usiłowali nas oswoić doktor Stefan Hrabec (1912–1972), polonista i sławista, w przyszłości profesor i rektor Uniwersytetu Łódzkiego, i doktor Anatol Mirowicz (1903–1996), rusycysta, z czasem profesor Uniwersytetu Warszawskiego, współautor i redaktor *Wielkiego słownika rosyjsko-polskiego*.

Polonistykę toruńską tworzyło wcale liczne grono profesorów i doktorów wywodzących się w znacznej mierze ze Lwowa i z Wilna. Można powiedzieć, że absolwenci polonistyki toruńskiej w pewnym sensie kontynuują tradycję polonistyki lwowskiej i polonistyki wileńskiej. Jestem uczniem profesora Nadolskiego ze Lwowa, wobec tego pani doktor Katarzyna Kiszkwiać jako moja uczennica jest „wnuczką” profesora Nadolskiego. Tradycja wileńska, lwowska trwa, w Toruniu przede wszystkim. Ale za sprawą kilku osób wywodzących się z Torunia tradycja lwowsko-wileńska przeniknęła także do Gdańska. Tu jest także pani profesor Irena Kadulka, która również wyszła spod ręki profesora Bronisława Nadolskiego.

Profesor Bronisław Nadolski jakiś czas dojeżdżał do Gdańska, w pięćdziesiątych i wcześniejszych latach sześćdziesiątych minionego wieku, ale wcześniej do Gdańska dojeżdżał z Poznania profesor Roman Pollak – także historyk literatury, zajmujący się głównie barokiem. Dzięki wysiłkowi tych profesorów dojrzewała gdańska polonistyka, najpierw w granicach Wyższej

²⁵ T. Makowiecki, *Poeta-malarz. Studium o Stanisławie Wyspiańskim*, Warszawa 1935, 1969.

Szkoły Pedagogicznej, następnie Uniwersytetu Gdańskiego.

Na miejscu polonistyką gdańską kierował przez dziesiątki lat profesor Andrzej Bukowski (1911–1997). To on występował z memoriałami w sprawie utworzenia uniwersytetu, w sprawie przekształcenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku i Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie w Uniwersytet Gdański. To jest nazwisko, które musi być w kontekście narodzin Uniwersytetu Gdańskiego wymienione. Profesor Bukowski był historykiem literatury, kultury, zajmował się XIX wiekiem, pozytywizmem, pomorskim pozytywizmem, zajmował się także literaturą i kulturą kaszubską.

K.K. Panie profesorze, bardzo serdecznie dziękujemy za to, że podzielił się pan z nami tymi niezwykle ciekawymi wspomnieniami o swoich mistrzach z lat szkolnych i studenckich, opowiedział nam o początkach swoich zainteresowań humanistycznych. Kolejne pytanie, jakie chciałabym zadać, dotyczyć będzie początków filologii polskiej w Gdańsku. Chciałabym, żeby pan profesor użył nam swojej wiedzy na temat tego, jak wyglądała organizacja studiów i organizacja pracy nauczyciela akademickiego w czasach, kiedy Uniwersytet Gdański był uczelnią jeszcze bardzo młodą.

E.K. Jeszcze młodsza była Wyższa Szkoła Pedagogiczna. Wspomniałem już, że bez wysiłku osób dojeżdżających do Gdańska polonistyka pewnie by nigdy nie powstała. To było bardzo liczne grono. Wymieniłem profesora Bronisława Nadolskiego i wyprzedzającego go czasowo profesora Romana Pollaka. Proszę zważyć, co prawda, wówczas z Poznania do Sopotu (bo profesor Pollak przyjeżdżał do Sopotu, tam miał córkę) jechało się krócej niż dzisiaj [*śmiech wśród publiczności*]. To trzeba powiedzieć na chwałę PKP tamtego czasu.

Ale to i tak wymagało wysiłku, jeśli się pamięta, że również profesorowie się starzeją. Profesor Roman Pollak zbliżał się do siedemdziesiątki, kiedy co dwa tygodnie przemierzał ten szmat drogi z Poznania do Sopotu, z Sopotu do Poznania. A przecież jednocześnie był profesorem Uniwersytetu Poznańskiego. Trzeba sobie zdać z tego sprawę. To był ogromny wysiłek.

Wreszcie byliśmy wszyscy obciążeni znaczącą liczbą godzin. Jako magister, początkujący nauczyciel akademicki, miałem nie tylko ćwiczenia, ale i wykłady. To dzisiaj niewyobrażalne! Miałem wprawdzie za sobą kilka lat pracy w liceum, ale doświadczenie dydaktyczne wyniesione ze szkoły średniej i wykład w wyższej uczelni to nie to samo. Od tych, którzy się tu zatrudnili, wymagano bardzo wiele.

Dzisiaj patrzę z zazdrością na bibliotekę uniwersytecką, wygodną, wspaniałą, z wolnym dostępem do półek. Aż się chce być w tej bibliotece. Żałuję, że nie jestem, bagatela, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat młodszy. Mało tego, katalog tej biblioteki mam w domu. Zaglądam do niego i sprawdzam, czy poszukiwana przeze mnie pozycja jest w bibliotece. Wyjeżdżaliśmy na konferencje naukowe, organizowane najczęściej w Warszawie, choć o delegację nie było łatwo. Wyjeżdżało się także do bibliotek, bo pewnych książek tu, w Gdańsku, nie było. Jak się już pojechało na konferencję czy do biblioteki, był problem noclegu. Próbowało się go znaleźć w siedzibie Związku Nauczycielstwa Polskiego. Gdy się tam przychodziło, okazywało się, że wszystkie pokoje są już zajęte. Pozostawały jeszcze łóżka polowe na korytarzach – wzdłuż ścian, jedno przy drugim. Nie było wyboru, trzeba było zaryzykować. A ruch trwał całą noc. Pociągi przyjeżdżały, ciągle ktoś dochodził. Rano ruch zaczynał się bardzo wcześnie, bo niektórzy wyjeżdżali albo śpieszyli się na jakieś zajęcia, niektórzy studiowali zaocznie w Warszawie, przyjeżdżali na egzaminy. Odpoczynek żaden, a następnego dnia szło się do biblioteki lub na konferencję.

Można by powiedzieć, że wystarczyło wykonać ksero i wracać do Gdańska. Rzecz w tym, że ksero wówczas nie istniało. Trzeba było jakoś sobie radzić, godzić różne obowiązki związane przede wszystkim z dydaktyką i z badaniami naukowymi, do których każdy nauczyciel akademicki był zobowiązany, w szczególności młody, który miał przed sobą doktorat, habilitację. O tym wszystkim musiał pamiętać.

W tej perspektywie trzeba widzieć narodziny polonistyki gdańskiej, trzeba docenić starania i wysiłek osób wówczas zawodowo czynnych, zwłaszcza profesorów, bo bez nich polonistyka nigdy by się nie rozwinęła. To oni byli opiekunami prac doktorskich, oni przyjmowali kolokwia habilitacyjne. Bez nich, ich ofiarności, polonistyka na pewno by się nie ukształtowała i nie osiągnęłaby oczekiwanego poziomu.

K.K. Panie profesorze, bardzo dziękuję za wspomnienia z czasów nie tak bardzo odległych. Chciałabym teraz zapytać o wizję polonistyki dzisiejszej. Jaka wizję polonistyki współczesnej mógłby nam pan profesor przedstawić? Czy, pana zdaniem, polonistyka dzisiejsza wymaga reformy?

E.K. Temat jest taki, że trzeba wstać [*profesor wstaje*]. To nie jest prosta sprawa, to jest bardzo trudne pytanie, na to pytanie się nie odpowie *ad hoc*. Ale to pytanie musi się pojawić. Ono jest bardzo ważne.

Zawsze w pewnym sensie byliśmy uzależnieni od tak zwanego rynku pracy. Zawsze rynek pracy brało się pod uwagę, należało brać pod uwagę. Proszę zważyć, za moich czasów ten rynek był tak ważny, że myśmy otrzymywali nakaz pracy. Kończyliśmy studia i otrzymywaliśmy pismo kierujące nas do instytucji, głównie szkoły, która na nas czekała. Ja otrzymałem pismo zaadresowane do dyrektora VI Liceum Ogólnokształcącego w Bydgoszczy z nakazem zgłoszenia się u niego 15 sierpnia. Krótko mówiąc: miałem pracę. Kiedy wiele lat temu na seminarium wspomniałem, że był kiedyś taki nakaz pracy, moi studenci powiedzieli: „Ależ to było dobrze”. Nie wiem, czy dzisiaj też wszyscy tak wzdychają, czy to akurat było takie grono. Oczywiście ten nakaz pracy miał swoje dobre i złe strony.

Trafiłem do dobrego liceum i dobrze się w nim czułem. Przepracowałem w nim siedem lat. I nie mówię, że to były lata chude. Dobrze się wśród uczniów czułem i myślę, że oni ze mną jakoś wytrzymywali. Niektórzy się odzywają po długich latach, po bardzo długich latach... Dobrze ten czas wspominam.

Nakaz pracy został wprowadzony, ponieważ było ogromne zapotrzebowanie na absolwentów uczelni. Poloniści chętnie wybierali dziennikarstwo, pracę w instytucjach kultury, szkoły na ogół unikali. Szkolnictwo było bardzo chłonne i przyjmowało absolwentów w ciągu długich lat.

Dzisiaj sytuacja się zmieniła. Szkół ubywa, ubywa więc miejsc pracy, zapotrzebowanie na nauczycieli maleje. Kogo więc mamy kształcić na polonistycę? Kim powinni być poloniści? Z wielu rzeczy pewnie nie chcemy rezygnować i pewnie nie powinniśmy rezygnować. Nie możemy sobie wyobrazić filologii bez nauki o języku i bez nauki o literaturze. To jest sedno polonistyki i wszelkich studiów filologicznych. Ale musimy sobie zadać pytanie, jaki typ polonisty jest dzisiaj ewentualnie poszukiwany – mówię bardzo oględnie, bo nie mam pewności, czy polonista jest poszukiwany. Czy, jeżeli ktoś znajdzie się w jakiejś instytucji XY i powie, że jest po studiach polonistycznych, zostanie przyjęty? Czego się od niego oczekuje? Kim powinien być? Co powinien umieć? Pracodawcy zadają dziś dość kłopotliwe pytanie: co pani potrafi, co pan potrafi. Zawsze można powiedzieć, że mogą na poczekaniu analizo-

wać wiersze [*śmiech wśród publiczności*], prozę fabularną, może dramat, może nawet spektakl teatralny. W tym się poloniści specjalizują. Nawet to lubią. Nieraz radzą sobie z tymi zadaniami nawet znakomicie. Tylko pracodawca takich odpowiedzi się nie spodziewa. Jeśli przychodzi ktoś po polonistycę, to może powinien zaoferować trochę inne umiejętności. Jakie miałyby to być umiejętności? Nad tym warto się zastanowić, nad profilem kształcenia. Na co położyć nacisk? Co jeszcze dodać, nie jako wielkie obciążenie, ale jako szansę, godną uwagi?

Kiedy się nad tym zastanawiałem, kiedy się zastanawiam, kim powinien być polonista na rynku pracy (bo tego określenia nie unikniemy, tej sytuacji nie unikniemy), mógłbym powiedzieć ogólnie tak: ekspertem w dziedzinie słowa. Powinien to być ktoś, kto jest niezawodny w mówieniu i pisaniu. Niezawodny. Kato napisał tak: „*orator est vir bonus, dicendi peritus*”. *Dicendi peritus* – mówcą powinien być ktoś sprawny w mówieniu. Można by dodać, nie tylko w dziedzinie *dicendi*, ale i *scribendi*, także w dziedzinie pisania.

Jeśli sobie zadają to kłopotliwe pytanie (bo to jest kłopotliwe pytanie), jak sobie poloniści radzą ze sztuką mówienia i pisania, to odpowiedzi będą niemniej kłopotliwe. Od czasu do czasu warto sobie to pytanie zadać. Warto się zastanowić nad tym, co zrobić, żeby polonista, absolwent polonistyki, był ekspertem w dziedzinie słowa. Niezawodnym ekspertem.

Dzisiaj bardzo często na różnych kierunkach studiów pojawia się taka forma zajęć jak warsztaty. Ta właśnie forma zbliża nas do praktyki, do rzeczywistego uczenia się czegoś ważnego, istotnego. Wykład jest formą ważną. Ćwiczenia historyczno-literackie czy gramatyczne – ważne, nie można ich lekceważyć. To należy do istoty filologii. Ale może warto zastanowić się nad taką formą, która skoncentruje się na pracach redakcyjnych (ja nie mówię tu w tym momencie o edytorstwie naukowym). Myślę o pracach nad tekstem, nad konkretnym tekstem. Myślę o tym, by naprawdę zatrzymać się nad tekstem, korygować go wielorako. I od strony myślowej, i od strony poprawności gramatycznej, i od strony ortograficznej, i od strony interpunkcyjnej. Chodzi o to, by interpunkcja nie była luksusem, tylko dla wtajemniczonych, by ortografia była polonistom naprawdę znana, by polonista się nie dziwił, że „nie” z imiesłowem przymiotnikowym, niezależnie od znaczenia, pisze się razem – bo poloniści ciągle się dziwią, a to już obowiązuje od kilkunastu lat.

Chodzi mi o to, że powinniśmy może nasze myślenie w tym kierunku poprowadzić. Kształcić ekspertów w dziedzinie słowa. Tych, którzy potrafią i *dicendi*, i *scribendi*. Opanują sztukę mówienia i sztukę pisania. W końcu kto ma być ekspertem? Matematyk? On niewiele mówi i niewiele pisze. Siłą rzeczy niewiele błędów popełnia. Nie ma tej szansy, a polonista ma. Może warto by o tej formie kształcenia, o takich warsztatach, pomyśleć. Zejść na ziemię z wysokości analiz, zejść na ziemię. Przypomnieć gramatykę opisową. Przypomnieć także fonetykę, poprawne akcentowanie. Matematyka, fizyka, gramatyka [*profesor wypowiada je tu, akcentując przedostatnią sylabę*] – to słyszymy powszechnie. Zgubiliśmy niektóre formy akcentowania, które są związane z językiem polskim. Może warto nad tym popracować. Warto wrócić do takich podstawowych form. Żebyśmy się słyszeli i rozumieli. Proszę siebie i innych posłuchać. Zanieśliśmy artykulację. Jest bełkot! Kiedy mijam młodych ludzi mówiących głośno, to nieraz się zastanawiam, jaki to język. Ale kiedy pojawia się w ich tekście najbardziej znane słowo w języku polskim zaczynające się od „k”, to już wiem, że jestem wśród rodaków [*śmiech wśród publiczności*]. Ale dopiero w tym momencie. Bo my już nie umiemy mówić. Proszę się dobrze wsłuchać. Lektorzy telewizyjni, niektórzy są znakomici, ale są tacy, którzy nie powinni się pokazywać. Radio jeszcze jest pod tym względem dość dobre. Źle jest, niestety trzeba to powiedzieć, z aktorami, że nie wspomnę o księżkach. Bo od momentu, kiedy on ma przed sobą takie coś, które ja tu mam [*chodzi o mikrofon*], to on się już nie wysiła, ust nie otwiera. Kazanie wygłasza nie wiadomo do kogo. Są czytania Pisma Świętego – szybko,

byle jak. Nawet ewangelię czyta się byle jak. O godzinie 13.00 w niedzielę włączam telewizję Polonia. Po co? Po to, żeby wysłuchać czytań i ewangelii. Wróciłem z kościoła i włączam, żeby usłyszeć to, czego nie usłyszałem w kościele. Miałem okazję powiedzieć to kiedyś arcybiskupowi. Do tego doszło! To jest absurd! To jest choroba nasza narodowa – nieumiejętność artykulacji! My się nie słyszymy, nie rozumiemy!

Otóż chodzi mi o to, by poloniści stali się znowu, bo byli kiedyś, ekspertami w dziedzinie słowa. Ważna artykulacja, ważna gramatyka, ważna sztuka pisania włącznie z ortografią i interpunkcją! Nieraz polonistom się wydaje, że są powyżej tej prozy, są od wielkich rzeczy... Są od wielkich i od małych, od wszelkich. Od wszystkich spraw, które się wiążą z kulturą słowa. Polonista powinien stać na straży kultury słowa. To jest tak, jak byśmy twierdzili, że inżynierowie i technicy nie mogą sobie poradzić ze zdjęciem tej tak zwanej latarni z wieży ratusza gdańskiego. Ta operacja się szczęśliwie odbyła. Tę latarnię sprowadzono na ziemię i tam wykonywano różne czynności konserwatorskie. Otóż proszę sobie wyobrazić, że inżynier odpowiedzialny za tę operację, technicy, robotnicy przy tym zatrudnieni nie radzą sobie z tym. Mogą sobie państwo wyobrazić, jakie byłoby nieszczęście? A my przyjmujemy do wiadomości, że poloniści nie radzą sobie z mówieniem i pisaniem. Na miłość boską! Całe nasze myślenie o studiach polonistycznych musimy zwrócić w tym kierunku, żeby naprawdę takiego elementarza polonistycznego nauczyć. Od tych podstaw trzeba zacząć, na czymś trzeba budować. Na trudniejsze sprawy będzie czas na studiach magisterskich, ale licencjat musi się skoncentrować także, nie mówię – wyłącznie, także na tych podstawowych umiejętnościach, bez których nie ma polonistyki.

Ale nakrzyczałem. Ale skoro kształcimy w Polsce tysiące polonistów, to mamy do czynienia z ogromną konkurencją. Nie tak dawno, przy okazji beatyfikacji, przypomniano spotkanie papieża z rektorami uczelni krakowskich. Jeden z ówczesnych rektorów – a był to rektor Akademii Sztuk Pięknych – został zapytany:

- A ilu ma pan studentów? – Rektor odpowiedział:
- Dziewięciuset.
- Dziewięciuset? I to sami malarze? – pyta papież. Rektor odpowiada:
- Nie, mamy jeszcze inne kierunki studiów.
- A to chwała Bogu.

Proszę sobie wyobrazić, jak by zareagował, gdyby na pytanie, ilu studiuje polonistykę w Polsce, usłyszał, że kilka tysięcy. To by się chyba za głowę chwycił. Ale skoro już tak jest, to zastanówmy się nad tym, aby te studia mogły być owocne i czemuś służyły. Wyobrażam sobie, że jedną z dróg prowadzących do takich efektów mogą być te warsztaty, o których wspomniałem. Takie bardzo robocze, bardzo konkretne. Bo trzeba popracować nad budową każdego zdania. To jest czasochłonne, ale trzeba przez to przejść.

Jeszcze wrócę na chwilę do Torunia. Otóż na pierwszym roku mieliśmy proseminarium (nie mówiło się o ćwiczeniach, lecz proseminariach). I to proseminarium polegało na tym, że myśmy ciągle coś pisali: a to streszczenie, a to protokół, a to jakieś omówienie tekstu literackiego, naukowego. Pani doktor, wówczas doktor, Bożena Osmólska-Piskorska, absolwentka Uniwersytetu Poznańskiego, bardzo cięta, bardzo dokładna, nieustępliwa, zbierała te prace, czytała je, poprawiała, oddawała i omawiała. Nie oszczędzała nas. To była naprawdę praca, która wymagała skrupulatności. Ona niczego nie darowała, ani jednego przecinka. To się przydaje, to owocuje, to ma sens. Polonista musi mieć świadomość tego, że jest coś wart, że naprawdę na czymś się zna, naprawdę na czymś konkretnym się zna. Nie chodzi o to, że on zabierze głos i wypowie się na temat tego czy innego autora, tego czy innego utworu. To

też jest ważne, nie chcę tego lekceważyć. Ale ważne jest to, żeby dać podstawy, dzięki którym absolwent polonistyki będzie pewny swego, swoich umiejętności. Musi mieć poczucie, że jest w jakimś zakresie ekspertem. Wracam do tego słowa, bo właśnie jest ono, w moim przekonaniu, w tym miejscu bardzo istotne.

Tym głosem nikogo oczywiście nie jestem w stanie zadowolić i nie taka była moja intencja. Tylko chciałem zachęcić do zastanowienia się. Może warto pomyśleć o takich elementach, trochę zapomnianych, lekceważonych. Łącznie z artykulacją. Żebyśmy się słyszeli i rozumieli.

K.K. Dziękuję bardzo. Myślę, że pan profesor poruszył szereg niezmiernie istotnych kwestii i mam nadzieję, że ta wypowiedź stanie się początkiem dyskusji. Zanim to jednak nastąpi, chciałabym zadać panu profesorowi jeszcze jedno pytanie. Chciałabym poprosić o przybliżenie nam problemów naukowych, którymi pan zajmuje się ostatnio. Jakie prace badawcze pan prowadzi? Wokół jakich zagadnień koncentrują się najnowsze zainteresowania naukowe pana profesora?

E.K. Pani właściwie już o tym wspomniała, ale przypomnę, ponieważ już nikt nie pamięta, o czym była mowa na początku, co jest oczywistością, z tym trzeba się liczyć. Otóż ja się zajmuję w tej chwili mediami, nie współczesnymi, ale mediami średniowiecza. Takie mam plany. Czy mi starczy czasu, żeby doprowadzić to do końca, tego oczywiście nie wiem, ale chciałabym, żeby to była praca, która obejmie jakąś całość, wszystkie elementy, które się na taki pejzaż medialny średniowiecza składają. Chciałem ograniczyć się do Polski, ale stwierdziłem, że pewne zjawiska medialne, które występują tu w krajach Europy Zachodniej, u nas albo nie zaistniały, albo zaistniały, ale śladu po nich nie ma. I postanowiłem w związku z tym przekroczyć granice Polski i zająć się całym szeregiem: Francją, Niemcami, po trosze Włochami i Anglią, żeby objąć te obszary, w których kultura medialna w średniowieczu była na wcale wysokim poziomie. Oczywiście media tamtego czasu i media naszego czasu to nie to samo zjawisko, ale jest to temat, który mnie interesuje, mam w związku z nim wiele pytań, sam je sobie zadaję i sam szukam na nie odpowiedzi. Jeżeli starczy mi czasu, to mam nadzieję, że doprowadzę ten temat do końca. Czas pokaże, czy zdołam. Ale jest to temat, który od dawna mnie interesuje, w który wchodzę, który poznaję od różnych stron. I właściwie cieszę się, że mam taki temat. Starczy mi go do końca.

Jeszcze mam jeden temat. W zasadzie wszystko się zaczynało inaczej. Profesor Nadolski, który mnie namawiał do zajęcia się piśmiennictwem politycznym, uznał, że należy zastąpić pracę, powstałą jeszcze w wieku XIX, pod koniec wieku XIX, o piśmiennictwie politycznym polskiego renesansu²⁶. Autorem tej pracy był Stanisław Tarnowski, hrabia zresztą, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. To ten właśnie hrabia, na którego temat krążyły różne anegdoty. Mieszkał w Krakowie, miał swoją rezydencję na „Szlaku”. Kiedy profesor był na uniwersytecie, jakiś student do niego podchodzi i zwraca się do niego: – Panie hrabio... Tarnowski mu przerwał: – Jak pan będziesz u mnie na «Szlaku», w co wątpię, to będziesz pan mógł tak mówić. Tu jestem profesorem. Otóż ten właśnie Tarnowski, o którym takie anegdoty krążyły, był autorem dzieła o piśmiennictwie politycznym polskiego renesansu. Profesor Nadolski mówił: – Pan powinien napisać nową książkę na ten temat, która by zastąpiła tamtą. – Mój Boże, przecież piśmiennictwo polityczne renesansu to jest ogromny temat, życia nie starczy,

²⁶ S. Tarnowski, *Pisarze polityczni XVI wieku*, Kraków 2000. Pierwsze wydanie – 1886.

żeby całość ogarnąć, zwłaszcza że dzisiaj wiemy na ten temat więcej niż wiedział Tarnowski. Mamy dostęp do tekstów, do których on nie docierał. I skończyło się na jednym autorze naszego renesansu, na Janie Dymitrze Solikowskim. Pani wymieniła tę pracę, która nosi tytuł *Publicystyka Jana Dymitra Solikowskiego*. Nawiasem mówiąc, to nazwisko pojawiło się, pamiętam, na lekcjach w gimnazjum albo w liceum, to nazwisko – tak jakoś pusto zabrzmiało, ale się pojawiło. Pracę o Solikowskim napisałem, ale od piśmiennictwa politycznego odszedłem w tym przekonaniu, że jest to temat bardziej dla historyków, a tylko w niewielkim stopniu dla polonistów. Wycofałem się z tej problematyki. Kilka lat temu poproszono mnie o napisanie tekstu do książki pamiątkowej wydanej przez Wydawnictwo Zamku Królewskiego²⁷. Ukazał się piękny, ogromny tom i tam naszkicowałem, jak sobie wyobrażam realizację tego tematu. Więc, jeśli rozstanę się z mediami średniowiecza, to w drugim wcieleniu (bo w tym już nie) wrócę do piśmiennictwa politycznego renesansu. Schemat przygotowałem, jest wydrukowany w książce pamiątkowej i tam na to drugie wcielenie poczeka. Tyle.

K.K. Dziękuję bardzo. Z całego serca życzymy panu profesorowi, żeby wszystkie prace badawcze udało się szczęśliwie zrealizować. Myślę, że nadszedł czas na to, żeby mogli państwo zabierać głos.

Profesor Ewa Nawrocka: Chciałam powiedzieć, że ja też jestem byłą studentką pana profesora Kotarskiego. I nawet pamiętam, choć nie pamiętam, co to był za przedmiot, chyba nie poetyka...

E.K. Mogła być poetyka albo literatura staropolska.

E.N. Może poetyka, raczej by na to wskazywało to, że pamiętam, dla nas i dla mnie olśniewającą, analizę wiersza Przybosa *Lipiec*.

E.K. Mój Boże!

E.N. To nam się tak strasznie podobało: kompetencja, wnikliwość, swada, poczucie humoru, dykcja nieskazitelna i to, co do tej pory Ci zostało, to „prooszę paanią...”. Egzamin ze staropolskiej zdawałam u profesora Nadolskiego, który przyjeżdżał z Torunia, zatrzymywał się w akademiku. I tak sobie wieczorami chodził po korytarzach. Siedziały dziewczyny z papilotami, w szlafrokach.

- A co panie tu robią?
- Przygotowujemy się do egzaminu.
- A u kogo?
- A u pana profesora, jutro.
- A co tu panie czytają?

No i taką rozmowę przeprowadzał. I na drugi dzień, kiedy one przychodziły na egza-

²⁷ *Media i polityka. Czasy Zygmunta II Augusta*, w: *Polska i Europa w dobie nowożytnej. L'Europe moderne: nouveau monde, nouvelle civilisation? Modern Europe – New World New Civilisation? Prace naukowe dedykowane Profesorowi Juliuszowi A. Chrościckiemu*, Warszawa 2009, s. 23–28.

min, mówił: „proszę indeks”. I za tę rozmowę korytarzową już bez pytania stawiał ocenę. Chodziły głosy, że trzeba się ubierać raczej w błękitne bluzeczki i że lepiej mieć krótką spódniczkę, bo zdarza się, że pan profesor w czasie egzaminu trzyma za kolano. Mnie nie trzymał, byłam tym bardzo rozczarowana [*śmiech wśród publiczności*]. Miał taki zwyczaj, że pytał:

– Co pani, albo pan, umie najlepiej? – Wbrew pozorom okazywało się to bardzo trudnym pytaniem, bo kiedy człowiek się tak w sobie wzmógł i wreszcie powiedział to, co uważał, że umie najlepiej, to profesor Nadolski mówił:

– No, jeśli to jest najlepiej, to ja mogę sobie wyobrazić, jak wygląda ta cała reszta.

Ale muszę powiedzieć, że właśnie panu profesorowi Kotarskiemu zawdzięczam mój poważny prawdziwy debiut naukowy. Mianowicie przy okazji okrągłej rocznicy Reja pan profesor (wtedy nie był jeszcze profesorem)...

E.K. Tak. Byłem młodym człowiekiem.

E.N. ...zamówił u mnie referat czy zobowiązał mnie do jego napisania, a że pan profesor wiedział, że się interesuję trochę teatrem, więc o Dejmkowskiem przedstawieniu *Żywota Józefa*. To był mój debiut, ale ja go sprzedałam trzykrotnie. Bo, po wielu latach, gdy w rozmowie z panią Anną Kuligowską, która przygotowywała sesję o Dejmku, powiedziałam, że parę lat temu (paręnaście nawet) napisałam taki referat, to ona mówi, że koniecznie muszę to odświeżyć i w książce²⁸ o Dejmku umieścić, co też zrobiłam, na sesji wystąpiłam. A potem była kolejna sesja we Wrocławiu, a ja ten referat już rozszerzyłam o kolejne inscenizacje. Mam więc okazję, żeby Ci podziękować, żeby Ci bardzo podziękować, za to, że tak mnie do tego namówiłes i skłoniłes.

M.H. Chciałabym pana profesora zapytać o ten wątek rozważań związanych z wiarą polonisty w siebie i w swoją wartość rynkową. Jestem bardzo wdzięczna panu profesorowi za to, że zwrócił pan uwagę arcybiskupowi, że stan kompetencji retorycznych księży pozostawia wiele do życzenia. Czy nie jest tak, że nasza (polonistów) wiara w siebie mierzy się społeczną waloryzacją roli polonisty? I jak to społeczne wartościowanie polonisty zmieniać? Bo ono chyba jest niskie i ono też wpływa na to, że tych miejsc pracy dla polonistów w mediach, seminariach nie ma, bo po prostu nie widzi się wartości obecności nas, polonistów, w tych przestrzeniach.

E.K. Właściwie pani podzieliła się tu swoją refleksją, nie mobilizując mnie do odpowiedzi. Ale zgodzę się, że my siebie nie cenimy, nie stawiamy pewnych wymagań wobec innych. Kiedyś miałem takie spotkanie z dominikanami gdańskimi. Mówiłem o retoryce. Jeden z nich zapytał mnie, czy wierni zauważają na przykład, że kazanie jest nieprzygotowane. Muszę powiedzieć, że byłem zaskoczony tym pytaniem, bo mimo wszystko sądziłem, że każde kazanie jest jednak przemyślane i przygotowane. A okazuje się, że nie. Otóż powiedziałem, że jednym z sygnałów, że kazanie jest nieprzygotowane jest to, że ksiądz trzy razy kończy: „już kończę, już” i dalej mają być już tylko oklaski, a on jeszcze raz, jeszcze raz „kończy”, bo nie przemyślał koncepcji całości.

Wydaje mi się, że istotnie przy różnych okazjach powinien polonista włączyć się do różnych sytuacji, wyjaśniać, nawet domagać się swego udziału. Ale musi być kompetentny, to

²⁸ *Teatr Kazimierza Dejmka*, red. A. Kuligowska-Korzeniowska, Łódź 2011.

jest podstawowy warunek. Mówiłem o warsztatach. Warsztaty powinny objąć między innymi retorykę. Chodzi nie tylko o teorię, ale i praktykę, praktykę przede wszystkim. Od czasu do czasu można jakiegoś aktora zaprosić. Mieliśmy tu kiedyś panią Halinę Słojewską-Kołodziej. Może warto by do tego wrócić. Żebyśmy zaczęli znowu mówić, artykułować. Takie działania są potrzebne, bo naprawdę jest źle. Myślę o ćwiczeniach – stylistycznych, retorycznych. To wszystko jest ważne z punktu widzenia polonisty. Za moich lat szkolnych uczyliśmy się na pamięć nie tylko Horacego, nie tylko Wergiliusza, lecz także Cyserona – oratora. Wygłaszaliśmy z pamięci po łacinie jego mowy, na przykład tę: *Quo usque tandem abutere, Catilina, patientia nostra...* Myśmy recytowali ten tekst głośno, przed klasą. I tu było to, czego dzisiaj często już nie spotkamy: uwaga tego, który słuchał. A słuchał nie tylko po to, żeby sprawdzić, czy się tekst pamięciowo opanowało, ale i po to, aby sprawdzić, czy się go prawidłowo artykułuje. To było istotne, jak mówisz.

Z tym problemem zmagalem się już jako nauczyciel w liceum. Ciągłe był jakiś uczeń, który mówił niewyraźnie, byle jak, niedbale. Chodziłem na koniec klasy albo – przeciwnie – lokowałem się blisko tablicy, zawsze jak najdalej od ucznia, by zmusić go do głośnego i wyraźnego mówienia. Mówię: „Słuchaj, ja ciebie nie słyszę. Mów tak, żebym cię słyszał”. Uczniowie w klasie siebie nie słyszą. Jeden mamrocze, drugi bełkocze. Co tu można zrozumieć? Gubią się słowa, całe zdania się gubią. To jest sprawa polonisty. W szkole – sprawa wszystkich nauczycieli, ale polonisty przede wszystkim. Protokoły posiedzeń rady pedagogicznej pisali poloniści. Bo kto potrafi pisać? Polonista. Tylko, że wtedy to było oczywiste, dziś niepewne. Dziś bym się zastanawiał, czy można każdemu poloniście to zadanie powierzyć.

To są problemy, proszę państwa. Dlatego uważam, że nie trzeba dzisiaj zastanawiać się nad tym, czy dodać jeszcze taki czy inny tekst literacki, takie czy inne opracowanie. Trzeba się zastanawiać, jak zorganizować te warsztaty, które podniosą poziom kompetencji językowej czy (szerzej) retorycznej, czy medialnej. Także medialnej. Czy zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że nasza wypowiedź jest ściśle związana z medium? To nie jest obojętne, czy ja ten przekaz, który tworzę w takiej czy innej sytuacji, doprowadzę do świadomości odbiorcy poprzez moją bezpośrednią wypowiedź czy za pośrednictwem pisma, może druku. To wszystko jest ważne. Trzeba mieć świadomość tego, że media także mają wpływ na moją wypowiedź. Inaczej wypowiadam się w bezpośrednim kontakcie z partnerem spotkania, inaczej – kiedy do niego piszę, jeszcze inaczej – kiedy przygotowuję tekst do druku. To są różne formy, bardzo różne formy, ściśle związane z mediami. To także powinno być przedmiotem zastanowienia przy okazji warsztatów, o których tu ciągle mówię, do których ciągle wracam, ponieważ uważam, że to jest właśnie forma najbardziej pożądana i tam wszystkie te problemy mogą się pojawić i mogą być, tak czy inaczej, rozwiązywane.

Katarzyna Panfil (FSD): Czy to właśnie kontakt we wczesnych latach gimnazjalnych z tekstem Skargi i później z opracowaniem Kota zupełnie ukierunkował zainteresowania pana profesora, czy też może jednak lata studenckie były mocniejszym impulsem?

E.K. Tak się szczęśliwie złożyło, że to się wszystko spotkało. Najpierw był Chrzanowski, potem był Kot, a potem na uniwersytecie był profesor Nadolski, który akurat się dawną literaturą zajmował. To się spotkało i stworzyło pewną całość. Proszę nie sądzić, że czytałem wyłącznie Kota i Chrzanowskiego. Chrzanowskiego zresztą można było czytać w nieskończoność, bo tam ciągle się znajdowało nowe teksty. Mówię głównie o antologii, która się w *Historii literatury niepodległej* Polski znalazła.

Pamiętam również, że interesowałem się jeszcze w latach gimnazjalnych innym autorem. Ukazała się w roku 1947 (mój Boże, 1947) książka Henryka Szypera (Szyper pisał się raz jako „Schipper”, raz przez „sz”, ale to był ten sam Szyper) – to była książka o Mickiewiczu²⁹, monografia, trochę popularna, trochę naukowa. Świetna monografia, którą się dobrze czytało. Znałem Mickiewicza, tak jak się zna w gimnazjum. Ale to była lektura, która jakoś spajała te ułamki wiedzy, które się gdzieś tam zgromadziło. Scaliła, tworzyła pewną całość. Pamiętam tę lekturę jako również ważną. Nie tylko Chrzanowski, nie tylko Kot, nie tylko wielu, wielu innych autorów, ale także ten Szyper był dla mnie znaczący.

Jeszcze o jednej książce chciałbym powiedzieć. Nigdy jej nie przeczytałem, nigdy jej nie miałem w ręku, ale o niej pamiętam. Pojawiła się w księgarni. W tym miejscu księgarni już nie ma. Pamiętam, w jakim miejscu księgarni stała. Ona mnie nęciła tytułem. A tytuł był taki: *Opinia, parlament, prasa*³⁰. Te trzy słowa w tytule, to było niezwykle, zupełnie niezwykle. Autorem był Henryk Jabłoński. Sporo kosztowała, nie byłem w stanie jej kupić. To były lata czterdzieste. Nigdy jej nie kupiłem, nigdy jej nie miałem w ręku. Ja ją ciągle tylko oglądałem, ciągle do niej wracałem, bo ten tytuł wydawał mi się bardzo interesujący. Opinia... Prasa... Parlament może najmniej mnie tutaj interesował, ale opinia, prasa – tak. Potem się okazało, że autorem był późniejszy minister i przewodniczący Rady Państwa.

Nigdy do niej nie dotarłem, ale mówię o tym dlatego, że to określa krąg moich zainteresowań tamtego czasu. Proza, proza, jak się okazuje, polityczna, bo Kazania sejmowe, bo Andrzej Frycz Modrzewski, bo właśnie ten tytuł, *Opinia, parlament, prasa*. Ale tylko tytuł. Nie mogę się pochwalić, że tę książkę wzięłem do ręki i w ciągu jednej nocy przeczytałem. Taki był krąg moich zainteresowań, bardzo różnych, bo do tego wszystkiego trzeba dodać literaturę piękną. O tym też trzeba pamiętać. Bardzo dużo czytaliśmy. Mówiłem tutaj głównie o Kocie i Chrzanowskim. To oni poprowadzili mnie do pewnych szczególnych tekstów i szczególnych opracowań, które szerszego zainteresowania w klasie nie budziły. To były moje indywidualne lektury.

K.K. Czy jeszcze ktoś z państwa chciałby zabrać głos, zadać naszemu gościowi pytanie, podzielić się refleksją? Bardzo proszę, zachęcam.

[dłuższa chwila ciszy]

E.K. Totalnie wyniszczeni *[śmiech wśród publiczności]*.

Głos z sali: Brak odwagi.

K.K. Jeśli nie ma chętnych, to ja pozwoliłabym sobie podzielić z państwem taką moją osobistą refleksją, moimi wspomnieniami z lat studenckich, kiedy byłam studentką pierwszego roku i uczestniczyłam w wykładach pana profesora Edmunda Kotarskiego.

Panie profesorze, chciałabym bardzo serdecznie podziękować za możliwość uczestniczenia w cudownych wykładach z literatury staropolskiej i z retoryki Greków i Rzymian. Wykładów prowadzonych w taki sposób nie miałam już nigdy później, to się nigdy nie powtórzyło.

²⁹ H. Szyper, *Adam Mickiewicz. Poeta i człowiek czynu. Zarys popularny*, Warszawa 1947.

³⁰ H. Jabłoński, *Opinia, parlament, prasa. Wstęp do badań roli opinii publicznej w epoce rozkwitu kapitalizmu*, Warszawa 1947.

I jeszcze chciałabym podziękować za świetne ćwiczenia – to był fakultet na drugim roku, pan profesor prowadził zajęcia ze staropolskiej poezji okolicznościowej. I myśmy przez cały semestr omawiali epitalamia. I pamiętam, że te zajęcia były jednymi z najdoskonalszych, jakie miałam właściwie w ciągu całego toku moich studiów. Bardzo serdecznie dziękuję za te zajęcia.

I jeszcze chciałam przywołać jedno wspomnienie. Pamiętam, że kiedyś, kiedy byłam na drugim roku i chodziłam właśnie na ten fakultet do pana profesora, rozmawiałam z kolegą, który studiował rok wyżej i on powiedział: „Z profesorem Kotarskim mogę mieć zajęcia nawet z książki telefonicznej”. *[śmiech wśród publiczności]*

E.K. Muszę się pochwalić, że mam też nienajgorszą pamięć i pamiętam panią z ćwiczeń. I do dzisiaj pamiętam, że błysnęła pani znajomością między innymi *Pieśni nad pieśniami*. Tak?

K.K. Chyba tak.

E.K. Proszę państwa, chciałem państwu podziękować, najpierw za zaproszenie do tego pomieszczenia³¹, prawie historycznego. Popatrzyłem na tych wszystkich dziekanów *[profesor patrzy na wiszące w sali Rady Wydziału portrety dziekanów wydziałów: Humanistycznego, Filologiczno-Historycznego i Filologicznego]*, żyjących, nieżyjących. Nas, dziekanów tego wielkiego Wydziału Humanistycznego³² żyje już tylko dwóch – drugi i ostatni. Wydział Humanistyczny to są ci dziekani „niemundurowi” *[w garniturach, pozostali zostali sportretowani w togach]*, ci w ubraniach cywilnych. Jeszcze tylko dwóch żyje. Tamci, „mundurowi”, mają się dobrze, są zresztą młodzi, to rozumiałe.

Doktor Aleksandra Iwanowska [chyba]: Ale nikt nie nosił muszki, tylko jeden. *[śmiech]*

E.K. Proszę państwa, chciałem podziękować za zaproszenie, wszystkim państwu – za cierpliwe słuchanie. Czy te wspomnienia mają jakieś znaczenie w budowaniu wizji historii polonistyki w Polsce północnej... Proszę zważyć, w tamtych czasach na północ od Torunia nie było żadnego uniwersytetu. Toruń to był ten najbardziej na północ wysunięty punkt. Dzisiaj na północy mamy kilka uniwersytetów. Niech państwo pomyślą. Kiedy ja studiowałam na polonistyce, przyjęto nas czterdziestu, w czasach, kiedy było ogromne zapotrzebowanie na polonistów. Dzisiaj się przyjmuje znacznie, znacznie więcej. I w Toruniu, i w Bydgoszczy, i w Gdańsku, i w Szczecinie, i w Olsztynie, i – dalej na wschód – w Białymstoku.

E.N. W Słupsku też.

E.K. Mówię o uniwersytetach, a są jeszcze inne możliwości, naturalnie. Proszę zważyć, wszędzie się tam kształci. Wiele się zmieniło. Rozwinęła się polonistyka. Nie ulega wątpliwości, podniósł się jej poziom, tak można powiedzieć. Poziom prac. Myślę też o liczbie prac, które się ukazują. Postęp w dziedzinie badań jest ogromny. Nieraz chciałoby się powiedzieć: „wystarczy, zatrzymajmy ten bieg”. Przybywa badań i publikacji, ubywa czytelników. Kto dzisiaj sięga

³¹ Spotkanie odbywało się w sali Rady Wydziału Filologicznego (1.48).

³² Profesor Kotarski był dziekanem Wydziału Humanistycznego w latach 1984 – 1990.

po *Kazania sejmowe*, żeby je przeczytać w całości? No chyba, że ktoś bardzo musi. A ja chciałem i to jest różnica. Kto by dzisiaj wziął do ręki Szypera, gdyby mu nie kazano? A ja wziąłem do ręki nawet Władysława Mickiewicza, żeby przeczytać jego *Żywot Adama Mickiewicza*³³, bagatela cztery tomy, łącznie około dziewięciuset stron. Wtedy się czytało, chciało się czytać. No można powiedzieć: „A co można było wtedy robić”. Czytało się. Właśnie dlatego, że się świat zmienił, zmienił się świat medialny, trzeba zmienić także polonistykę. W jakim kierunku te zmiany mają zmierzać? To jest wielkie i bardzo trudne pytanie. Odpowiedź będzie się zawsze łączyła z pewną odwagą. Ja już jestem taki trochę z boku, więc mówię o pewnych sprawach głośno, inni wolą milczeć, choć swoje myślą i mają swoje uwagi. Ale proszę zważyć, tym interesować się należy, nie wolno z tego rezygnować.

Więc dziękuję wszystkim za cierpliwość, za wytrwanie, a że jestem gadułą, przepraszam, że mówiłem o całej pół godziny za długo. Bardzo dziękuję. Życzę wszystkim powodzenia na studiach, a tym, którzy nad tymi studiami czuwają – całej przyjemności wysłuchiwanie egzaminów, mój Boże. Wiele dobrego państwu życzę. *[oklaski]*

K.P. W imieniu organizatorów *Dialogów z tradycją* i w imieniu wszystkich tu obecnych, chciałabym bardzo serdecznie podziękować panu profesorowi za to, że zechciał podzielić się z nami swoimi wspomnieniami, swoją opinią dotyczącą polonistyki współczesnej. Myślę, że te wspomnienia rzeczywiście przyczynią się do budowania więzi między nami, studentami, polonistami, kolejnymi pokoleniami polonistów i do budowania historii naszego uniwersytetu. I właśnie w imieniu organizatorów chcielibyśmy przekazać kwiaty *[profesor i prowadząca spotkanie otrzymują bukiet kwiatów]*.

Dziękujemy bardzo serdecznie pani doktor Katarzynie Kiszkwiać za poprowadzenie spotkania. I dla pana profesora jeszcze książka, której tytuł, jak sądzę, dobrze streszcza ideę naszego cyklu³⁴ *[oklaski]*

K.K. Panie profesorze, bardzo serdecznie dziękuję, także we własnym imieniu, za to, że zaszczycił nas pan profesor swoją obecnością. Życzę wszystkiego dobrego, wielu lat w zdrowiu i realizacji wszystkich planów naukowych.

E.K. Dziękuję bardzo. Będę się starał. Zakładowi dziękuję i szefowej *[profesor zwraca się do profesor Ireny Kadulskiej]* dziękuję.

Profesor Irena Kadulska: Pan profesor był naszym szefem.

Opracowanie tekstu:
Marcin Romanowski.

³³ W. Mickiewicz, *Żywot Adama Mickiewicza*, t. 1 – 4, Poznań 1890 – 1895.

³⁴ Profesor otrzymał książkę Leszka Kołakowskiego *Wśród znajomych. O różnych ludziach mądrych, zacnych, interesujących i o tym, jak czasy swoje urabiali*, Kraków 2004.